NUMER POJEDYŃCZY 10 K.

ZŁOTY RÓG
ILUSTROWANY TYGODNIK
LITERACKI ARTYSTYCZNY I SPÓŁECZNY

REDAKCJA i ADMINISTRACJA
WARSZAWA
UL. MAZOWIECKA №5
TEL. № 226-83.

№ 27

WARSZAWA
DNIA 23 CZERWCA 1912 R.



J. Puacz. (Sal. Richlinga). **Studjum.** (Pastel.)

DWIE SPRAWY POLSKIE.

Dwie książki o „Sprawie Polskiej“ wyszły z druku w czasach ostatnich. Jedną z nich napisał p. Władysław Studnicki, drugą p. Eugenjusz Starczewski; jedną z nich pisało pióro namiętne, gorące, entuzjastyczne, — drugą spokojne, opanowujące się, chłodne. Z potężnego tomu o sześciuset stronicach, obok ognia, który z niego bucha, wyziera jednak posępne widmo rozpaczy; z tomu, o połowę węższego, obok strumienia skrzepłej pod wpływem sceptycyzmu lawy, uśmiecha się jednak pogodna twarz otuchy w przyszłość. Która książka jest sympatyczniejsza, która głębsza, która prawdziwsza? Doprawdy, trudno to rozstrzygnąć. Są to dwa portretowe zdjęcia współczesnej duszy naszej, dwie filmy przedstawiające dwojaki typ refleksji polskiej dni dzisiejszych: nie wyczerpują one jednak bynajmniej wszystkich typów polskiego czucia i myślenia... Po przeczytaniu tych dwuch książek ma się wrażenie, że dwie albo trzy inne mogłyby być napisane, różne punktem wyjścia, tonem i barwą, założeniem i wnioskami, że dwie albo trzy inne byłyby nawet potrzebne dla całości i pełni obrazu wszystkich typów rozmyślań umysłowości naszej nad dolą zbiorową narodu. Zdaje się, że wchodzimy w nowy okres rozwoju naszego politycznego piśmiennictwa. To już nie bro-

szurki agitacyjne, nie pamflety partyjne, nie elaboraty kandydatów na posłów, nie pouczenia i monitowania na użytek chwili bieżącej — to poważny wysiłek głów, rozpatrujących według najlepszej wiedzy i woli problem naszego bytu i naszej przyszłości.

O wartości tych książek, o ich praktycznej wadze dla naszych bieżących potrzeb publicznych można mieć zdania rozmaite. Będzie bardzo wielu takich, którym nie będą się podobały wnioski, będzie bardzo wielu innych, którzy się będą sprzeczali o założenia, będą i tacy, którzy nie znajdą w nich tego, co się w nich znaleść spodziewali, którym jedna będzie się wydawała zbyt płytką, druga zbyt fantastyczną i wybujałą. Niema książek doskonałych — i niema tematu trudniejszego dla polskiego autora, jak sprawa polska w jej dzisiejszych powikłaniach i beznadziejnościach. Bądźmy wdzięczni za uczciwe staranie ogarnięcia jej i zorjentowania się w tem wszystkiem co nam los na drodze dziejowej narzucił, za wytężoną próbę rozświetlenia jej mroków i znalezienia wśród kamieni dna tej piwnicznej otchłani, w jakiej żyjemy, jakichkolwiek kiełków nowego rozwoju, bądźmy wdzięczni za wysiłek odgarnięcia chwastów i wskazania wśród moczarów, jakie się pod niemi kryją, ścieżek, na które moglibyśmy pewniejszą stąpić nogą. A jeżeli nawet żadne z tych dzieł ścieżki, prowadzącej ku światłu i wiośnie wskazać nie zdoła, spełnią one w każdym razie obowiązek gromadzenia materjałów, z którymi w ręku przyszli technicy naszego publicznego życia łatwiej przerzucą mosty ponad bagniskami i piwnicami, aby oprzeć się o trwalszy i pewniejszy brzeg, dotychczas dla naszych oczu niewidoczny.

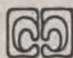
Brzeg, który ukazuje p. Studnicki, jest gdzieś poza gwiazdami. Przez lunety dalekie możnaby patrzeć i nic nie zobaczyć, prócz mgły gęstej i nieprzeniknionej. Możnaby powiedzieć, że mamy do czynienia już nie z astronomją, ale z metafizyką polityczną, że wtedy kiedy nam doskwiera głód i pragnienie, ręka anachorety ukazuje nam obraz zaziemskiego bytu, do którego jedna tylko prowadzi droga, przez bramy śmierci. Staczamy się powoli do szeregu lumpenproletarjatu Europy i Ameryki, — woła p. Studnicki. Byliśmy niegdyś narodem szlacheckim, rycerskim. Poczucie honoru i buńczuczność szlachty, jej bezinteresowność w drobiazgach materjalnych, nadawały ton naszemu życiu, jak w Anglji całemu narodowi nadaje ton życia jej arystokracja, Szwajcarji — drobne mieszczaństwo, jak Czechom zamożne włościaństwo. Żyjemy z dnia na dzień, płodzimy dzieci bez myśli o ich losie, wiedząc, że ich pozycji już nic nie obniży... Spółczesna ewolucja gospodarcza, polegająca na wzroście gospodarki państwowej, na przejściu na własność państwa kolei żelaznych, kopalń i nawet niektórych gałęzi produkcji, zwraca się i zwracać się będzie przeciw nam, największemu, najbardziej historycznie urobionemu z narodów bezpaństwowych. Musimy stać się podnożem, deptanym przez innych — zdegradowano nas cywilizacyjnie... Trudno przewidzieć, czy nas czeka rozsypanie wśród innych ludów przy emigracji na stałe, czy też będziemy krajem o drobnych działkach ziemi, których posiadacze dorabiać się będą w znoju i poniewierce na obczyźnie przez sezonowe wychodźctwo. Im bardziej obniżymy się do poziomu białych murzynów Europy i Ameryki, tem w uboższe soki zasilana będzie literatura nasza, sztuka i nauka. Cóż warte będzie istnienie nasze? Istnieć, aby pracować dla innych w najniewdzięczniejszych warunkach pracy, istnieć, aby być pomiatanymi przez tych innych, aby budzić w nich wstręt z brudem naszym, tym naturalnym wynikiem naszej nędzy? Istnieć, a nie mieć możności rozwinięcia indywidualności swojej, okraszać innych barwą i właściwością ducha naszego?.. Lepiej nie istnieć więc? Powiedzieć to łatwo. Ale narody są to organizmy stokroć nieszczęśliwsze od jednostek, nie mają bowiem wyjścia w samobójstwie...

Oto przewodnia myśl książki, która zarzucając większości społeczeństwa psychikę murzynów duchowych, sama oświadcza się za typem psychiki ginących z dumą ludów czerwonoskórych. Czy książka p. Starczewskiego jest wypływem tego ducha murzyńskiego, o którym z taką wzgardą pisze p. Studnicki? Doprawdy, niepodobna tego przyznać. Jesteśmy na złej drodze — woła p. Starczewski—brak nam zmysłu politycznego, mamy wady w charakterze narodowym. Ażeby nie stać się stanem piątym, „lumpenproletarjatem", musimy według p. Starczewskiego czynić wysiłki, aby głównym naszym trzonem społecznym wejść w skład europejskiego stanu trzeciego, zajętego wytwórczością i jej zamianą. W tym celu trzeba nam uzdrowić naszą strukturę społeczną, stworzyć własny stan trzeci. Patryjotyzm nasz, jeśli nie ma być pozbawiony wszelkiej wartości rzeczywistej, musi się więc stać patryjotyzmem ekonomicznym. Nie wolno nam rozpraszać sił swoich po świecie, przeciwnie, musimy się skupiać i przedewszystkiem pilnować swego jądra etnograficznego, na terytorjach zaś o ludności mięszanej bronić tylko swego stanu posiadania i swej narodowości. Będąc jedną z liczniejszych narodowości Europy, mając znakomity, naturalny przyrost ludności i stale poprawiając swoje stosunki wewnętrzne i swój charakter narodowy, możemy z otuchą patrzyć w przyszłość. Tymczasem jest nam zapewne ciężko. Warunki wśród których żyjemy, urągają wszelkim zasadom humanitarnym — a jednak przedewszystkiem strzedz się powinniśmy złych uczuć, gdyż uczucie nienawiści zawsze deprawuje czło-

wieka i naród, zaciemnia jego zadania, obniża jego wartość życiową. Zostawmy nienawiść tym, którzy nas krzywdzą; są oni jeszcze większymi wrogami własnych społeczeństw. To, co nas dręczy, minie, jak mija wicher, burza, pożar, wojna i mór, a jad nienawiści długo toczyć będzie organizm społeczeństw tą nienawiścią przejętych i na niej wychowanych. Przyszłość nasza—w dojrzewającem ogólnem przekształceniu się stosunków europejskich i w naszej własnej sile wewnętrznej!

Pomiędzy pesymizmem samurajskim jednej z tych książek, a burżuazyjnym optymizmem drugiej — są jeszcze drogi inne i inne czucia; może przyszłość świata nie należy ani do gienerałów i dyplomatów, ani do kupców i fabrykantów, ale do zorganizowanej współdzielczej pracy i zorganizowanego sprawiedliwego dobra nowego typu ludzkości, który się rozwinie z dzisiejszych zmagań się społecznych i ekonomicznych przeistoczeń. Ale w obu tych książkach i we wszystkich innych jakie o naszej sprawie mogą być napisane, powtarza się i powtarzać się z pewnością zawsze będzie to jedno hasło, które przed wiekiem rzucił nam już wichrowy duch gienjalnego człowieka, gdy do stóp jego rzucaliśmy losy nasze: „Przedewszystkiem bądźcie warci być narodem!“

K. E.



WALENTY ZIELIŃSKI.

3)

SŁOWIK.

NOWELA.

Jedną chwilę stał tak, jakby go do ziemi trzymało, chcąc bez kurzawę choć coś nie coś rozeznać, — a gdy zrzedła — oderwał się już z miejsca szukać, że to go pewnikiem ubił.

Ale — — jak tu nie zaświergoce na kępce wśród trzęsawiska, jak nie rozdzwoni się, jak nie rozśpiewa!..

Ryknął Jasiek, ta kej ten zwirz, abo jenszy co rozumu pozbędzie, w oczach mu z tej złości zamroczyło... Odwrócił jeno flintę od końca, chycił ją za lufę, w dwie ręce do góry ułapił i, z kolbą już, skoczył za głosem — z miejsca od jednego razu.

Nie nalazł ci nogom opercia, jeno zwalił się w samo bagniste mokradło.

Rżnął flintę, jon się ciskać a ratunku wołać na świat cały, — a co się poruszy a zawoła — to głębiej zapadnie, a tak zwolna, jakby go tam — raz po razu — a ździebko jeno cięgiem w głąb ciągnęło.

Przyjmowała go topiel, ozwierając się w dół pod jego nogami — — do pasa najpierw — potem po ramiona — po szyję — aż i gębę zapchało mu błockiem, niby pakułami, — nalazło i do uszów, i w oczy, a w końcu zawerło się nadełbem i, tylko chwilę krótką, lejek mały kołował w tem miejscu na trzęsawisku, — wprędce zaś wyrównał się wkrąg z topielą, jakby się tam już nic takiego nie przytrafiło, tylko — że czapka pływała po wierzchu.

A słowik odfrugnął do gaju, ale już takiej żałości dostał do człowieka, że od tego dnia świergotać a dzwonić mu się odekciało, choć przódzi na całki rok śpiewki sobie obmyślił. Że zaś przypadało to na dzień św. Wita, to i powiedają od tego czasu — „na święty Wit — słowik cyt“.

Rankiem — kiedy słońce wzeszło, naleźli pastuchy Jaśkową czapkę, ale gdzie ta im było w tej przepaści szukać Jaśkowego ciała...

A we wsi w ten czas odperto chałupę. Jóźka ci tam wpodle drzwi leżała, bez czucia, i ledwo że ją odratowali.

Nie wróciła już do rozumu, jeno pietła jak na mękach, to o tem, to o jenszem, aż dziwno było każdemu takiego czego słuchać, to i drapał się naród po łbie i medytował, a różności sobie, różności, o tem wszystkiem powiedano.

. . . .

Od tego czasu niesło Jóźkę jeno po wioskach wokoło — to po polu, a nie — to do gaju wpadnie, aż musieli dawać na nią baczenie, bo by dnie całe bez strawy tam przesiedziała, szukający czegoś a latający za czemś.

I tak bez całki rok — aż do nowego maja ...a gdy zaświergotał znów słowik, że to go Matka Boska, ostatni raz, jeszcze na ten swój miesiąc o to uprosiła, a już na przyszłe maje śpiewać nic przyobiecował, — Jóźce już nie do letania było, jeno — jak dawniej — szła cicho, ze łzami, od chałupy — miedzą do gaju, wśród zieleni pól poświatą miesiąca oblanych, — szła, — rosą łez swoich, niby w perły, znacząc ścieżynę, wiodącą do tych jednych jeszcze jej szczęśliwości, szła — wśród srebrzystych promieni miesiąca i rozdzwonionej w przestrzeni pieśni słowiczej — — —

A jako rozum inakszy miała od innych, to i słowika łacno było jej zrozumieć, że gdy już była poblizko a gajem przemykała, jakby to najprościej [dostać się do niego, nawoływał ci ją a zawodził:

— Jóźka... Jóźka... Józieczka moja... chodź tu... chodź tu... chodź tu... — — — a dycht był to głos Wawrzona, takusieńki, słyszała przeciech.

Serce latało jej w piersiach a biło — chyba jak ta sygnaturka.

— Wawrzon, Wawrzon!.. — wołała bez pamięci.

I ozwierały się przed nią złote bramy a tam — cudowne słowicze gaje, a Wawrzon szedł nawprzeciw, tak letko jak ta mgiełka i jeno powiedał:

Jóźka... Jóźka... Józieczka moja... chodź tu... chodź tu... chodź tu...

I szła — — — — — —

On zaś tulił ją i pieścił, i tak osłaniał, i tak się z nią cudował — i tak wygadzał, jakby to jaka księżniczka abo i królewna była.

I w miłowaniu chodzili po czarownych gajach, jakby po królestwie swojem, a Jasiek takie przedziwne różnoście opowiedał, aże płynął jego głos dzwonkowy, płynął w przestrzeń powietrzną — — niby najpiękniejsza muzyka, niby śpiew — hymnem miłości rozdrgany w najgłębszych serca ustroniach, w najdalszych słonecznych szlakach, którymi dusza kochająca dąży po kobiercach złocistych promieni w błękity niebiańskich przestworzy — — —

Człowiek... toć człowiek okiem jeno szarą widzi ptaszynę, śpiewu zaś takiego gdzie ta mu zrozumieć?.. Ale niechno tylko ziemskiego rozumu pozbędzie a serce anielską miłością mu wzbierze, oj — insze światy się przed nim rozsnują, inaksza pieśń doleci...

Tyżeś to słowiczku, ptaszyno miłości — co zakochanym mile przyśpiewujesz,— tyżeś to dzwonniku serc wezbranych tęsknością!

A gdy o słonku, rankiem, pieśń cudowna milkła i czarodziejskie krainy we dniu się rozpływały, wracała Jóźka do chaty, z letkością na sercu, błogosławiąc gorącą modlitwą niebo za tyle dobra, co choć przez ten niedługachny czas w roku użyje.

Widząc kuntentność biednej Jóźki, Matka Boska uprosiła u Jezuska, żeby odtąd przykazał słowikowi, zawsze—raz do roku— choć przez jeden miesiączek śpiewać, a Pan Jezus, że jesta litościwy, wysłuchał Jej prośbę, jako zwykł, dobrotliwie, przykazując odtąd słowikowi — piosenką dzwonić i w kochające serca zalatywać.

Nie markocił się ptaszek tym Boskim przykazem, boć w niem przeciech też kochające serce kołatało, to i śpiewał, to i dzwonił trelami po gaju, a przestawał dopiero na św. Wit, że go żałość do złych ludzi w ten czas za grdykę chwytała; zaś — co maj — znów do serc powracał z piosenką, tuląc i pieszcząc je srebrzystemi falami miłosnej modlitwy, czarownie rozdzwonionej w cichą noc wiosenną — — — — — --

To też nie dziwota — dla kochających najmilejszy miesiączek jest maj, że słowik wtedy świergoli, — zaś ludzie odtąd powiedają:

„Kiedy — słowik — maj,
Zakochani — w gaj“.

KONIEC.

TRENY.

Szumem gałęzi swych sosna-rosocha...

...Szumem gałęzi swych sosna-rosocha,
Wrosła w żałobne, mazowieckie piaski,
Szeptała cicho ten pacierz podlaski,
Że ona Polskę, jak swą duszę, kocha!..

Że dla niej w letni żar żywiczne wonie
Wydycha z siebie w tej gontynie starej,
I miedzianymi, grubymi konary,
W złocie zachodu, jak szabaśnik, płonie...

Dla Niej jesienną, tęskną „Dziadów“ nocą,
W białej mgły całun cicho się otula,
Jak rozpłakana, słowiańska zazula,
Na jej niedolę żaląc się sierocą...

I dla niej, boru polskiego sybila,
W mroźnej zawiei śnieżnej skrzypi wichrze,
Wydając z siebie łkania, coraz cichsze...
Przed Nią zlodniałą swą koronę schyla...

Wacław Wolski.





M. Płonowska. (Sal. Richlinga). Zaduma.

RENÉ BAZIN.

ZAPŁATA.

(Z francuskiego).

W jednej z najuboższych dzielnic Paryża mieszkała biedna kobieta, nazwana Józefką. Dom, w którym zajmowała część izdebki na piątem piętrze, był stary, w murach pełno miał szczelin, z których wyrastał mech, świeży i jasny, a mieszkania posiadał przeważnie jednopokojowe, o piecach wiecznie dymiących i nigdy się nie domykających oknach i drzwiach. Umeblowanie tych pokoi składało się wyłącznie prawie z łóżek i krzeseł. W łóżkach spało co najmniej po trzy osoby, a słoma, z której ongi były wyplatane siedzenia krzeseł, sterczała do góry, lub uciekała w dół, tworząc mniej lub więcej symetryczne dziury.

Józefka, podobna na ogół do gospodyń, sąsiadujących z nią, różniła się od nich ruchami bardziej gorączkowymi, które były wynikiem wiecznego jej umęczenia, i ciągłego jakiegoś strachu wobec obowiązków i trudów jej życia. Cokolwiek czyniła, wciąż myślała z drżeniem o tem, co czynić jeszcze powinna. Nie zawsze bowiem wiatr bywa ostrym; częstokroć drzewo jest wątłe i za lada drży podmuchem.

Co rano, przed wyjściem do przędzalni, w której stałe miała zajęcie, śpieszyła się ogromnie, by się nie narazić na karę, nakładaną na spóźniające się robotnice; zasiadłszy do pracy, myślała wciąż o dzieciach swoich, o tej czwórce ukochanej, którą, — podczas jej nieobecności — opiekowała się sąsiadka, sama będąca matką trojga maleństw; a wieczorem, gdy robotnicy opuszczali fabrykę, ona biegła na czele długich szeregów tych ponurych postaci. Twarz jej była chuda i wydłużona, wstążki u kapelusza rozwiązane, fruwały w powietrzu, a oczy, wzniesione do góry, patrzyły na szczyty domostw przedmieścia swego. Śpieszyła bez wytchnienia, gnana uczuciem, złożonem w równej mierze z miłości i jakiegoś nieokreślonego przestrachu.

Miała lat trzydzieści pięć niespełna. Lata nędzy jednak liczą się w dwójnasób, to też wyglądała zupełnie jak stara kobieta. Nawet dziecko jej najmłodsze, które sama karmiła, starcze i zwiędłe miało rysy.

— Nie wiem czego brak Henrysiowi, — rzekła Józefka pewnego dnia do dozorczyni fabrycznej, — już na siódmy mu idzie miesiąc, a nic a nic przytyć mi nie chce. A przecież staram się, o ile tylko mogę, by mu nie zbywało na niczem. Trzy razy na dobę, — rano, w południe i wieczór — sama go karmię; mączki dla dzieci też mu nie żałuję, dowód, że wczoraj dopiero sklepiczarka znowu żądała odemnie zapłacenia rachunku... Ta kobieta nie ma serca. Boję się przejść przed drzwiami jej sklepiku. A mimo to, dziecko maleńkie, jak kociak. Świat wszędzie ten sam: zmień mieszkanie, ludzie jeszcze gorsi.

Dozorczyni należała do rzędu tych tęgich, starszych kobiet, które pod pozorami rubaszności, dużo ukrywają dobroci. Nachyliła się ku robotnicy, i wśród ogłuszającego hałasu maszyn i białych obłoków kurzu konopianego, który po części gęstemi warstwami osiadał na ramach okien wysokich a po części opadał na suknie i włosy kobiet pracujących, rzekła do niej:

— Widzicie, moja kochana, zdaje mi się, że maszyny wypijają mleko matek. Dla was rady niema. Co zaś się tyczy małego, to znam pewnego lekarza, który przyjeżdża tutaj w dnie, gdy się odbywają jarmarki. Sprzedaje on blaszki elektryczne. Blaszkę taką kładzie się dzieciom na żołądeczek, a po upływie sześciu tygodni maleństwa są tak zdrowe i ładne, takie mają rumiane policzki, że matki nacieszyć się nie mogą ich wyglądem.

— Ale środek ten pewnie bardzo drogi, — szepnęła Józefka.

— No, rozumie się! piętnaście franków! Nie powinno was to jednak martwić. Pożyczę wam tę sumę, a zwrócicie mi ją drobnemi spłatami w dnie odbioru pensji.

Wdzięczna za pomoc ofiarowaną, Józefka kupiła blaszkę. Nadzieja jednak, że dziecko się poprawi na zdrowiu, okazała się zwodniczą. Chłopczyk chudł i bladł w dalszym ciągu. Wówczas matka, innej słuchając rady, — wobec nieszczęścia bowiem dziwną się odznaczała biernością — wzięła pewnej niedzieli dziecko i zaniosła je poza obręb miasta, o milę drogi koleją żelazną, do wieśniaczki, którą jej wskazano.

— Karmię już swojego syna, — rzekła młoda kobieta — lecz mogę karmić dwoje dzieci; a kołyska będzie jedna tylko.

I porównywając chłopczyków, tak niepodobnych do siebie, że wyglądali, jak istoty gatunków tylko pokrewnych, dodała ze śmiechem:

— Po upływie sześciu miesięcy nie będzie już między nimi różnicy.

Robotnica jednak, którą wszystko raniło w życiu, nawet odwaga innych ludzi, widziała w tem porównaniu tylko obrazę, i odeszła, dotknięta do żywego. Małe zaś wątłe dziecię fabryczne pozostało obok zucha z pod wiejskiej strzechy.

Minęło pół roku. W słońcu letnich miesięcy dojrzewało zboże, które, skutkiem deszczów wiosennych, rosło bujne i pełne. Rok był urodzajny, jeden z tych błogosławionych, kiedy ziemia dostarcza więcej bogactwa, lecz i pracy więcej. Mieszkańcy wsi wstawali równo ze słońcem i nie wypuszczali kosy z ręki do samego wieczora. Kobiety, w dosyć znacznem od kosiarzy oddaleniu oraz dzieci, mogące już utrzymać widły i grabie, rozrzucały trawę i w wysokie ją układały stogi. Wszyscy, podnosząc głowy, widzieli przed sobą na pagórkach pola pokryte zbożem, którego ziarna złociły się na kłosach jeszcze zielonych. I zapowiedź tego żniwa obfitego, w które mieli się zanurzyć i żyć niem podczas kilku następnych tygodni, przyczyniła się do zwiększenia gorączki pracy, jaką wieś obecnie oddychała.

W pośpiechu tym ogólnym, tylko młodej kobiecie karmiącej dwoje dzieci służyło prawo pozostawania w domu, a jeżeli schodziła na łąkę, to mogła, — zawsze jedno niosąc dziecko — więcej marzeniom się oddać, niż pracy. Przychodziła na przemian to z jednym chłopczykiem, to z drugim. Wyglądali teraz, jak bracia. Tem samem karmieni mlekiem i tem samem oddychając powietrzem, mieli też obaj zarówno świecące i różowe policzki. Matka, goręcej kochając swoje dziecko, uważała je za piękniejsze, co ostatecznie jest rzeczą naturalną. Mimo to, z dnia na dzień bardziej się cieszyła wyglądem syna Józefki, któremu uratowała życie. Apetyt i wesołość chłopca, nawet głośne jego krzyki, słyszane z oddali, napełniały ją dumą. Radowało ją to życie, które z niej wyszło i do niej z uciechą wracało. A duma ta karmicielki bardzo była zbliżoną do prawdziwej miłości macierzyńskiej.

* * *

Pewnego popołudnia, gdy nad wsią ukrytą za wysokim wieńcem z wierzb i drzemiącej w opustoszeniu prawie zupełnem, tylko muchy brzęcząc unosiły się w powietrzu, młoda matka karmicielka zbliżyła się do kołyski. Maleństwa spały, leżąc jedno naprzeciw drugiego. Słońce, świecąc jasno, nęciło do wyjścia. Nasiona kwiatów polnych, wirując w powietrzu, wpadały do izby przez okno otwarte. Wiatr przynosił ze sobą zapach miodu.

Młoda kobieta spoglądając na dzieci, wahała się, które z nich zabrać ze sobą. Obie jasne główki, jedna koloru owsa, druga barwy konopnianej, przemawiały do jej serca i przemawiały głosem prawie równym.

Wreszcie litość odniosła zwycięztwo. Młoda wieśniaczka pozostawiła swoje dziecko pod opieką piętnastoletniej pastuszki, wracającej właśnie do domu i pokrytej kurzem, jak pszczółka; następnie wzięła „to drugie“ i udała się w drogę do kosiarzy.

Szła gościńcem prowadzącym na dół. Ujrzawszy pierwsze jerzyny, rosnące na krzakach przydrożnych i zwieszające się z gron jeszcze pokrytych kwieciem, urwała kilka, by zgasić pragnienie. Upał ją męczył. Mimo to, myślała tylko o dziecku, które otaczała ramionami swemi i powtarzała zcicha:

— Jak ja go kocham!

Dziwnie błogie miała uczucie, gdy tak przyciskała do serca uśpione maleństwo; wilgotne ciepło ciała dziecięcego prosto jej przenikało do duszy.

Przywitano ją okrzykiem zadowolenia.

— Dzień dobry, Magdaleno! Przyszłaś, nareszcie, leniuszku! Ułóż małego do snu i żwawo się zabierz do roboty! Mężczyźni sarkają, że tyle siana leży jeszcze na ziemi!

Stosując się do żądania kobiet, ułożyła dziecko wygodnie w cieniu wysokiego stogu siana i zabrała się do rozrzucania trawy, schnącej bardzo prędko. Pracowała dwie godziny. Gdy słońce poczęło się zniżać, była bardziej znużona od sąsiadek, które dzień cały spędziły na łące. Wówczas spojrzała ku mężczyznom, jakby prosząc o pozwolenie przerwania roboty. Lecz nikt nie zwracał uwagi na nią. Wszyscy pracowali usilnie a promienie słońca o zachodzie tak samo rozniecały złote iskry w kosach, jak to były czyniły promienie słońca południowego. Spojrzała na kobiety, które jakkolwiek powolniejsze w ruchach, wciąż podrzucały trawę do góry, lub ją zgarniały grabiami.

Nikt się nie żalił na utrudzenie. Przyroda tylko zrozumiała młodą kobietę i zdawało się, że do niej przemawia:

— Przestań pracować! Wiadomo, co to znaczy być matką i, że kobiecie, karmiącej synów potrzeba spokoju!

Magdalena opuściła widły i powróciła na miejsce, obecnie już oddalone nieco, gdzie była pozostawiła dziecko. Mały spał jeszcze. Młoda kobieta usiadła na ziemi, oparła się plecami o stóg siana, podniosła dziecię tak ostrożnie, jak się skarb podnosi najdroższy i nie przewidując wcale, że to ostatnia chwila radości, której doznaje jako matka przybrana, rozpięła suknię i pierś małemu podała.

Chłopczyna pił z zadowoleniem. Zaledwie nasycony, zasnął ponownie.

Magdalena zapięła stanik.

Gdy znów spojrzała na dziecko, wzrok jej łagodny dłuższy czas się zatrzymał na ładniutkiej twarzyczce drobnej istoty, która objęta przyjaznym jej uściskiem, spoczywała tak ufnie i spokojnie. Ruchem powolnym i znużonym młoda kobieta pogrążyła się głębiej w pachnące siano, duże, szare jej oczy patrzyły w dal, patrzyły nic nie widząc, aż wreszcie się ukryły pod zapadającemi na nie powiekami.

I tak spoczywały obok siebie, młoda wieśniaczka i dziecko, dusze prawie równe; nad ich twarzami, zbliżonemi do siebie, z których jedna była śniada a druga różowa, zwisły długie dźbła trawy; drobna, pulchna rączka nieświadomie pieściła pierś matki. A ziemia kładła zielone odblaski na cień, który powoli się rozpościerał nad obiema niewinnemi i tak pełnemi miłości istotami.

W samej rzeczy tego samego popołudnia Józefka wysiadła z pociągu, zatrzymującego się na najbliższej stacji. Prędkim, nerwowym krokiem biegnie przez pola; gnana zmęczeniem, nie widzi przed sobą nic, prócz niezmiernej długości drogi. Dla niej wycieczka ta stanowi tylko pańszczyznę i jako dodatek do pracy codziennej, pańszczyznę nad wyraz ciężką. Pełna niepokoju, tego nieodłącznego towarzysza jej życia, nie ma spojrzenia tkliwego dla cudownego, otaczającego ją świata; nie odczuwa tęsknoty za jego pięknością czarowną. A jednak powstała ona z tego świata i przez wieki całe przodkowie jej żyli tutaj, własnemi rękoma obrabiali tę ziemię i tutaj do snu wiecznego strudzone zamknęli powieki.

Józefka nie myśli o tem. Nic nie idzie z niej do tych kosiarzy i nic nie pójdzie, — krom pieniędzy, które trzyma mocno w kieszeni fartucha. Od czasu do czasu dotyka tych pieniędzy ręką, by się przekonać o ich istnieniu. Tyle ją kosztowały pracy? Wspomnienie o tem i o walkach staczanych z ojcem dziecka, który chciał je wydać na hulankę z kolegami, serce jej niewymowną przepełnia goryczą. To też idzie do karmicielki swego syna z uczuciem niemal wrogiem.

Zdaleka wołano na nią, wskazując jej drogę.

— Nie, nie tam! Na lewo, za tym wysokim stogiem siana!

Józefka poszła w kierunku przeciwnym, i chodząc po łące skoszonej, niebawem dotarła do uśpionych. Nie poznała swego dziecka. Na widok chłopczyny różowego i spokojnego, którego wygląd zdradzał zdrowie i siłę, ogarnęło ją uczucie, jakby zazdrości.

— To jej syn! — szepnęła z cicha.

Magdalena otworzyła oczy. Ujrzawszy Józefkę, rozłożyła ramiona i rzekła z uśmiechem:

— To wasz!

— Bardzo się poprawił, — odpowiedziała matka. — Proszę, oto pieniądze! Nie łatwo mi przyszło zebrać. A długów mam co nie miara! Wy szczęśliwi, nie znacie tego wcale!

I przy tych słowach wręczyła jej umówioną sumę.

Młoda wieśniaczka, widząc w swych rękach pieniądze a dziecię natomiast w objęciach matki, wybuchnęła płaczem. Józefka stała przed nią zdziwiona, że karmicielka jej syna tak obojętnie patrzy na sumę przedstawiającą majątek dla niej i wcale się nie spieszy z jej zagarnięciem. I ona przecież pobierała zapłatę za swą pracę; a nikt jej nie dziękował; ani ona nikomu. I nigdy się nie żaliła z tego powodu. I postąpiła dzisiaj tak samo względem młodej wieśniaczki, jak inni względem niej postępowali. Czy się od niej należało więcej? Dlaczego?



Mich. Nowicka (Salon Richlinga). Studjum portretowe.

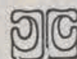
Przez krótką chwilę obie kobiety milcząc spoglądały na jasnowłosą główkę wspólnego dziecka swego.

Było to całe spotkanie ich dusz.

Rozeszły się.

I po raz wtóry żadna z nich drugiej nie zrozumiała.

przeł. *Malw. Blumberg.*



WACŁAW GĄSIOROWSKI.

19)

WOJNA NARODÓW

powieść historyczna z epoki napoleońskiej.

Piekło przeżył, piekło znieczulenia ohydnego. Aż oto zbudził się, aż oto zmierzył otchłań, przejrzał w momencie, gdy Blanka miała paść ofiarą nędznika!

I Luiggi trwał przy Blance, czuwał i kajał się i przysięgał jej krew swoją, pieczę i pokutę sobie zadawał i mierzył dal przeżytych cierpień i miłości zaranie, i biegł potem ku spodziewaniom, ku błękitom italskiego nieba rwał, złotym warkoczom słońca ojczystego podawał się, w cieniu cyprysów oglądał ukochaną, w krasie ją widział, czuł

rozchylone jej do całunku usta. I tak roił już, tak śnił.

Wreszcie miarowy chrobot oddechów i Luiggiego dosięgnął. Nieszczęsny gid neapolitański zdrzemnął się. Ale nim w zupełną nieświadomość się pogrążył, ocknął się, lecz napróżno. Duszne, gorące, miazmatami wyziewów cuchnących nasączone powietrze nory odurzyło go, ubezwładniło silniej od zmęczenia.

Temperatura w norze podnosiła się tymczasem z tak niesłychaną szybkością, że Benoit, który był u wylotu spał, obudził się zdziwiony, oszołomiony, do żywego udręczony plugastwem. Nigdy jeszcze mu tak nie dokuczyło, po raz pierwszy ciało paliło go, piekło.

Sierżant, w pierwszym odruchu, wychylił głowę na wolny przestwór. Ale, miast spodziewanego orzeźwienia, tchnął weń oddech duszny, ciepły, wilgotny. Benoit mocniej się wychylił, lecz równocześnie misternie zbite sklepienie wejścia prysło, znikło, nie prusząc. Na rękach uczuł lekkie uderzenie wielkich, rozlewnych kropel.

Benoit wyskoczył z nory samemu sobie nie wierząc. Nie mylił się przecież. Deszcz, deszcz padał, deszcz zagrzewny. Roztocz bieli pociemniała, skuliła się do ziemi, rozpłaszczała. Z ołowianych, zasnutych mroków wychylały się garby opoki. Powietrze spokojnem, łagodnem było przepojone tchnieniem.

Odwilż szła, odwilż zbawcza.

Sierżant ze wzruszenia wielkiego osunął się na ziemię, łapy w wodniejszym śniegu zanurzył i miażdżył go z lubością, miętosił na krople i krople przez palce przesiewał.

Trwał tak długo, aż zerwał się i ku norze zwrócił, jakby na towarzyszów zawołać chciał, lecz wzrok jego padł na czarną plamę pustej baryłki. W gardle zachrobotał mu krótki tłumiony śmiech.

Intencja Benoita w inną zwróciła się stronę. Nie mieszkając, jął bowiem czynić jakoweś przygotowania w pobliżu nory. Zaczem przewiązał wystający koniec deski, na której spoczywała Blanka, i zaczął deskę razem z Blanką wyciągać powoli. Praca ta zajęła sierżantowi sporo czasu, ileże najwidoczniej szło mu o to, aby śpiących w norze nie zbudzić, deski zaś bez zawadzenia o nogi Marty i ramię hrabiego dobyć nie można było. Należało więc ostrożnem, niedostrzegalnem poruszeniem deski, przyzwyczajać uśpionych do naporu.

Stąd, gdy nakoniec Benoit dobył Blankę zupełnie, już brzask na dobre szedł od wschodu.

Teraz atoli sierżant chwili nie zmitrężył. Pod głowę wpół przytomnej Blanki wtłoczył zwój gałganami spowity. Ją samą wpół do deski przytroczył. Postronki, opasujące koniec deski, mocniej zasupłał i, zaprzągłszy się do tak zaimprowizowanych sani, — ruszył ku zachodowi i szczezł w szarej smudze dżdżu.

Towarzysze Benoit'a spali precz, spali niemal do chwili, gdy przemoczona falami deszczu nora wklęsła, osunęła się i wskroś wodą ich przejęła.

Marta zerwała się pierwsza, za nią hrabia i baron. Dobroczynne zjawienie się ciepła, odwilży i nieoglądanego od miesięcy deszczu było dla nich krótkotrwałą radością. Ucieczka sierżanta spiorunowała ich, poraziła, boć z nim razem przepadły zapasy żywności, ramię silne, przedsiębierczość starego żołnierza i jedyna broń w postaci saperskiego tasaka. Pozostał im jeno gnat koniny, szczątki sani i łachmany.

Dla Luiggiego jednocześnie ginęła Blanka, okrutnym, sztrasznym zgrzytem kończył się sen o szczęściu, o jutrze.

Von Beust wyrzekał, stękał płaczliwie, Marta klęła, hrabia siedział skulony i milczał. Poglądał na wklęsły ślad deski, na której spoczywała ukochana, poglądał na mogiłę swego jutra. (d. c. n).)



I DAŁEM MEJ KRÓLEWNIE...

I dałem mej królewnie
te wonne polne kwiaty...
spojrzały na mnie rzewnie
błękttnych ócz bławaty...

I dałem mej królewnie
płomienne serce moje,
a w duszy było śpiewnie
i słodkich marzeń roje...

I miałem kwiat wspaniały,
przeczystą tę lilję,
lecz mi go wiatry zwiały,
a ja samotny żyję!..

Juljusz Dzięciołowski.

CHWILA BIEŻĄCA.

KONIEC ROKU SZKOLNEGO.

W tych dniach kończą się lekcje w szkołach. Młodzież ze wsi rozjedzie się do domów, młodzież warszawska, jeżeli nie ma rodziców zamożnych, pozostanie na gorącym asfalcie przez te trzy miesiące letnich wywczasów. Niby, że mamy dla nieletnich kolonje, niby, że już nawet dla szwaczek postarano się o zdrowe powietrze, co świadczy o dużym postępie humanitarno-społecznym, ale jeszcze o młodzieży szkół średnich nie pomyślano. Zdaje się, że młodzież szkół początkowych znajduje się też nie w lepszych warunkach. Co prawda, między tą młodzieżą jest wielu takich, którzy przez lato pracują jako chłopcy na posyłki, pomagają rodzicom w sprzedaży gazet, lub stoją za ladą sklepową. Co do tych, kwestja jest o tyle „uproszczona", że większość ich stoi na tym nizkim poziomie kultury, iż nie zdaje sobie nawet sprawy z wpływów dobroczynnych świeżego powietrza. A z drugiej strony nędza rodziny zmusza ich do pracy. Jednem słowem, nie cisną się oni do instytucji dobroczynnych, z których mogliby korzystać niekiedy, gdyż przecież na kolonje przyjmują dziatwę do lat 12-tu. Jeżeli zaś spotyka się wśród nich jednostka jakaś, to nie z tej warstwy najbiedniejszej, lecz właśnie stosunkowo lepiej usytuowanej.

Ciekawe jednak, że nie spotyka się prawie nigdy wychowańców szkół średnich. Starsi szukają sobie na lato kondycji. Jeżeli znajdą, miast wypoczywać, pracują po kilka godzin nad zakutemi pałkami obywatelskich synków i przywożą ze sobą jeszcze więcej rozklekotane nerwy, niż je wywieźli z miasta. Bilans więc takiego wyjazdu na wywczasy zawsze równa się niekorzyści. Tylko w wyjątkowych wypadkach taki pobyt na kondycji dodaje trochę tuszy i zdrowia. A przecież chodziłoby o to, by naprawdę te kilka miesięcy dodawały sił i zdrowia młodzieży! Wiemy bowiem doskonale, co to znaczy, dla dorastających chłopców i dziewcząt, siedzieć codzień po 6 godzin w szkole. Poza tem przecież jeszcze trzeba ze 3 godziny w domu przygotowywać lekcje na dzień następny, co w sumie wynosi 9 godzin dziennej pracy. Zdaje się, że i ludzie dojrzali przeciętnie więcej nie pracują. Robotnicy w krajach cywilizowanych pracują już tylko po 8 godzin na dobę, a cóż mówić dopiero o dorastającej młodzieży!

Młody, rozwijający się organizm, przeciążony pracą, musi się zdegenerować, musi uledz pewnemu zniekształceniu, gdyż wedle sił tylko można wymagać od człowieka, czy rośliny, wydajności. Stąd też tak często spotykamy blade, wycieńczone twarze, zapadłe policzki i kiepsko uzębione usta. Na zachodzie pedagodzy już zastanawiają się nad temi szkolnemi przeciążeniami. Widzimy więc dużo różnych organizacji sportowych specjalnie złożonych z młodzieży szkolnej. Widzimy różne instytucje specjalnie propagujące ruchowe zabawy na świeżem powietrzu. U nas niby, że też już grają uczniowie z piłką nożną, ale jeszcze nie we wszystkich szkołach powprowadzano wzorową szwedzką gimnastykę. I też trzeba dodać, że na lekcje gimnastyki plan szkolny przewiduje tylko (maximum) 2 godziny w tygodniowym spisie. A więc ogólnie rzecz biorąc, sprawa przedstawia się jeszcze w konturach bardzo nikłych. Potrzeby, jednem słowem, są jeszcze dalekie od zupełnego zaspokojenia.

A są to potrzeby bardzo ważne. Gdy bowiem będziemy wychowywali pokolenie za pokoleniem, tak, jak to obecnie ma miejsce, zwiększać się będzie rok rocznie procent tych co cierpią na taedium vitae. Zresztą i pokolenia następne będą coraz to słabsze, coraz to mniej zdolne do walki o byt, gdyż ojciec rachityk, suchotnik, niedokrwisty, blady urzędniczyna, czy inżynier, nie może mieć potomstwa, tryskającego zdrowiem, radością i chęcią do życia.

Jest więc w interesie całego społeczeństwa, by zwrócić uwagę na warunki hygieniczne w jakich żyje młode, dorastające pokolenie. W szkołach polskich, gdzie rodzice dopuszczeni są do udziału w posiedzeniach Rady Pedagogicznej, sprawy te powinny być szeroko i gruntownie przedyskutowane. Tak — powinny być, ale niestety, wiemy z praktyki, że rodzice właśnie, jaknajmniej mają chęci by w tych sprawach głos zabrać. Pedagodzy też nie kwapią się z wystąpieniem, idzie więc wszystko, jak było dawnym trybem, dawnym łożyskiem. Wiele rzeczy w szkole polskiej ulepszono, ale też jest wiele rzeczy gorszych. Jedną z takich kardynalnych wad, jest niezdecydowany stosunek władz szkolnych do uczni, do uczenic niezamożnych. Znam fakty, że uczenice, płacące niepełny wpis (były zwolnione przez radę pedagogiczną), nie były dopuszczane do egzaminów. Znam fakty, że przełożona pensji uczenicom, które miały na wszystkie kwartały stopnie dostateczne, kazała na roczny postawić niedostateczny, by tem przerwać możność kształcenia się tym uczenicom dalej. Są to rzeczy, które można spotkać często na porządku dziennym polityki przełożonych naszych szkół i pensji. Społeczeństwo powinno w to wejrzeć i publicznie tego rodzaju fakty piętnować.

Często bowiem niezamożne dziecko zdolnościami kryje wszystkie swoje współkoleżanki czy współkolegów. Gdy się je usuwa ze szkoły, traci społeczeństwo zdolnego pracownika, który, zyskawszy wyższe wykształcenie, byłby pożyteczniejszy dla ogółu, niż jednostka „rozparzona". Przełożone czy przełożeni

nie mają tego na widoku i dyskretnie takich niezamożnych uczniów usuwają. Mają przytem wybieg legalny, bo pokazują w cenzurze dwójkę, której w ciągu roku, nawiasem mówiąc, nie było.

Oprócz więc zdrowotnych warunków należałoby też powiększyć pieczę nad stosunkiem moralnym przełożonych do uczni. Nauczyciel każdy powinien mieć to przeświadczenie, że, niszcząc młodą latorośl ludzką, czyni nie tylko krzywdę jednostce, ale też i całości, narodowi. I dla tego dbać należy o zdrowie.

Zdrowie bowiem powinno być nadzwyczaj szanowane, gdyż jest ono syntezą normalności duchowej i fizycznej. Otuchą napełnia się serce każdego myślącego obywatela, gdy widzi zdrową, wesołą, radosną młodzież. Rzadko to daje się teraz zauważyć, gdyż jest w tym duża wina pedagogów i hygienistów społecznych. Gdyby hygieniści społeczni wraz z pedagogami omówili w jakich warunkach powinien się rozwijać normalny, przeciętny organizm ludzki i wyniki takich dyskusji zastosowali w swoim nauczaniu, napewno rezultaty dałyby się już spostrzedz w bardzo krótkim czasie.

Być może, że i wtedy powstałaby inicjatywa wysyłania młodzieży niezamożnej na letnie wywczasy bez żadnych kondycji, lekcyjek, lektorstw. Szkoły prowincjonalne, urządzane na wsi (jak np. pod Grodziskiem) nie są dostępne dla młodzieży biednej, a więc właściwie dla nich nie istnieją. Dają coprawda zamożniejszym lepsze warunki, co każe i za to być wdzięcznym, ale do zupełnej reformy stosunków zdrowotnych w szkole nie przyczyniają się. A chodziłoby o to, by właśnie piecza i troska o zdrowotność, o hygienę zajęła w szkolnictwie jedno z naczelnych miejsc.

Sądzę, że krokiem idącym dużo naprzód stanowczo będzie, jeżeli już dziś pomyślimy o wakacjach dla młodzieży szkół średnich i niższych. Dobrzeby się stało, gdyby kolonje wywczasów letnich pozostały specjalnie poświęcone dla tej młodzieży. „Skaut", oraz gimnastyka i gry powinny być wtedy tylko wyłącznym „zajęciem" dzieci i młodzieży. A wtedy napewno wracaliby do miasta na 9-io godzinny swój dzień pracy z innym animuszem. A wtedy napewno możeby było mniej nieuważnych, leniwych i roztargnionych.

TEATR.

Jubileusz Wiktora Misiewicza.

Operetka warszawska obchodzi w tym roku drugi już jubileusz. Niedawno święcił swoje prawie złoty gody p. Morozowicz, obecnie mamy znów złote gody z operetką p. Misiewicza. Pierwsze kroki sceniczne odbył p. Misiewicz w trupie Modzelewskiego, a następnie przez szereg lat przebywał w głośnych swojego czasu trupach operetkowych Anastazego Trapszy i J. Texla. Zaangażowany na scenę warszawską, Misiewicz objął wszystkie pierwszorzędne role tenorowe. Ś. p. Münchejmer, kompozytor i dyrektor opery polskiej nakłaniał go do porzucenia operetki i objęcia odpowiednich ról w lekkiej operze. Wrodzony jednak operetkowy nerw Misiewicza nie chciał porzucić podwoi lekkiej Muzy.

W ciągu lat 30 stworzył na scenie warszawskiej szereg komicznych kreacji, które bawiły i bawią do dziś dnia naszą publiczność. Z ważniejszych ról wymienić należy: Parysa (Piękna Helena), Ange-Piton (Pani Angot), Ptasznik z Tyrolu, Baron cygański, Gasparone, Farielle.

Co wieczór niemal przez lat szereg widzą bywalcy teatralni Misiewicza i śmieją się do rozpuku z jego spokojnego humoru.

W nowej operetce „Wróg kobiet" Misiewicz stworzył jeszcze jedną swoją arcyzabawną kreację. W teatrze było pełno. Kwiaty i oklaski, oklaski i kwiaty wypełniały scenę i widownię. W dniu jubileuszu składamy i my życzenia jubilatowi. Niech nas bawi jeszcze wiele lat.

E. C.



Wiktor Misiewicz
artysta-jubilat.

Jubileusz Znatowicza.

W tygodniu przeszłym święciliśmy jubileusz długoletniej, cichej a owocnej pracy, znanego na polu nauki, Bronisława Znatowicza. Urodzony dnia 10 czerwca 1851 roku w Lublinie, skończył następnie gimnazjum lubelskie w roku 1869. W tym samym roku zapisał się na wydział fizyko-matematyczny, który ukończył w 1873 r. Przez jakiś czas był asystentem prof. Freunda we Lwowie, a w roku 1879 przeniesiony został do Warszawy na asystenta chemji teoretycznej po Władysławie Lepercie.

Za rozprawę „O sposobach ogólnych syntezy węglowodorów" w r. 1884 zyskuje Znatowicz w uniwersytecie warszawskim stopień kandydata nauk przyrodniczych. W r. 1882 wspólnie z dr. Chałubińskim, Eug. Dziewulskim, Ant. Ślósarskim, F. Sulimierskim, St. Kramsztykiem przystępuje do wydawnictwa „Wszechświata", którego zostaje redaktorem i prowadzi to pismo do dziś dnia.



Bronisław Znatowicz
red. „Wszechświata".

Jako chemik, Znatowicz brał czynny udział w wszystkich sprawach związanych z tą nauką. Wyborny analityk, wspólnie z dr. F. Wredenem pracował nad „Redukcją węglowodorów aromatycznych na węglowodory tłuszczowe". Rezultaty tej pracy zostały ogłoszone w „Annalen der Chemie und Physik", wydawanej przez Liebiga.

Jako wyborny popularyzator, Znatowicz wypowiedział wiele odczytów, które gromadziły zawsze słuchaczów i przyczyniały się przeto do krzewienia nauki.

Obchód jubileuszowy Znatowicza był poniekąd świętem nauki polskiej. Cześć jej szermierzom i koryfeuszom!

„Oglądam się za siebie.."

Znany krytyk i poeta pan Zdzisław Dębicki, zbogacił swój dorobek literacki jeszcze jedną maleńką, ale za to wykwintną i rzadką książką. Zebrał cudne perły swoich liryków i dał zbiorek, które zajmuje jedno z pierwszych miejsc we współczesnej twórczości poetyckiej. Ton jego poezji cichy i skupiony, budzi głębokie echa w duszy czytelnika. Niema w nim nic z porywów zewnętrznych, wszystko płynie w kierunku dośrodkowym, wszystko o pracy duszy czujnej i tkliwej opowiada. Drogie są dla nas przytem płowe gobeliny, które maluje przed oczami widza-czytelnika Dębicki. Są to bowiem obrazy wyczarowane przez serce, widział je Dębicki w cichej, zasłuchanej ekstazie. I dlatego najpiękniejszym wierszem jego jest „Milczenie". Mówi w nim poeta: „Milczeniam umiłował niewysłowioną mowę... Nikły jest szmer wyrazów..." (str. 8). Jedynie ust milczących niemość i powaga — Powiedzieć mogą o tem, z czem się dusza zmaga. O, bo i rzeczywiście ten ton głuchego, mądrego milczenia, które daje się tylko porównać do tonu duszy starca Zosimy Dostojewskiego, porusza do głębi i przykuwa. Jest w nim coś z mądrości starych sag hinduskich. Jest w nim coś z moralnej wyrozumiałości dla grzechu ludzkiego, jest w nim coś z dobrego, ojcowskiego pobłażania.

Forma liryków Dębickiego odznacza się też wykwintem i skończonością. Cyzeluje każdy drobiazg Dębicki z wielkim pietyzmem. Pogardza wszelką łatwizną, z zamiłowaniem pokonywa trudności wierszowej techniki. Już piewszy wiersz zbiorku „oglądam się za siebie..." charakteryzuje doskonale cały tomik poezji. Wydanie bardzo estetyczne, dosyć zaznaczyć, że wyszło pod firmą J. Mortkowicza. Jest to jeden z tomików antologji poetów współczesnych, których wydaje Mortkowicz. Dotychczas wyszły poezje Brzozowskich, Ostrowskiej, Kasprowicza, Szczęsnego, Jedlicza. Zbiorek Dębickiego ma stronic 110, składa się z następujących części: Oglądam się za siebie, Z wrażeń włoskich, Echa i listy, które jej nie doszły.

Naumyślnie wynotowujemy skrupulatnie ilość stronic i części, gdyż przez to ułatwiamy orjentację dla bibljofilów i bibljografów.



Zdzisław Dębicki
poeta i krytyk.



Ś. p. Jan Purwin
znany publicysta.

Ś. p. Jan Purwin.

Z grona młodych pracowników na polu publicystyki ideowej ubył człowiek, który budził w swoim otoczeniu wiele nadziei. Pozostało po nim niewiele: zaledwie kilka broszur, kilkanaście artykułów rozrzuconych po różnych pismach. Nie są broszury jednak miarą tego kim był ś. p. Jan Purwin. Umysł jego lotny i głęboki dopiero przygotowywał się do powiedzenia swojej prawdy. Zdumiewał wszystkich imponującym hartem woli, pracowitością niespożytą i oddaniem się sprawie publicznej. Był w każdym razie jednym z najwybitniejszych jednostek w swoim pokoleniu. Wszyscy znający go bliżej, żegnają z żalem drogie zwłoki młodego bojownika, rycerza.

Popisy i matche w parku Agrykola.

Popisy gimnastyczne i z dziedziny atletyki odbywają lekkiej się wciąż w parku wystawowym, na obszernem boisku, służącem za teren do wszystkich sportowych konkursów. Przez cały tydzień toczyły się tam wstępne matche drużyn szkolnych, rozgrywających ze sobą w piłkę nożną prawo do stypendjum imienia E. hr. Raczyńskiego na rok 1912/13.

Ostateczna rozgrywka tej nagrody przypadła drużynom „Polonia I" i „Korona I" w ubie-

głą niedzielę przed rozpoczęciem *corsa* automobilowego.

W matchu o stypendjnm hr. Raczyńskiego otrzymał zwycięzstwo obóz „Ko-rona I". Obóz „Koronie" składa się przeważnie z uczniów szkoły prywatnej kujawskiej. Oni więc będą dysponować stypendjum.

Od poniedziałku rozpoczął się na boisku wystawy drugi match footballowy, drużyn gier ruchowych, o puhar ofiarowany przez prezesa Warsz. Koła Sportowego Augusta hr. Potockiego. Do pozyskania tej nagrody honorowej potrzebna jest dwukrotna wygrana. Powtórna więc rozgrywka rozpocznie się znów po wakacjach, t. j. po powrocie uczniów do szkół. Wrazie braku decydującego zwycięztwa — rozgrywka ostateczna odłożona będzie aż do przyszłej wiosny.

Po raz pierwszy dopiero w dziejach rozwoju młodego naszego sportu, ubiegają się drużyny szkolne o nagrodę honorową, która jako świetna pamiątka ich dzielności i sprawności pozostanie w depozycie szkoły, do której należeć będą zwycięzcy.

To też emulacja rozwija się ogromnie i cała młodzież szkolna trenuje się zawzięcie, by upragniony „pierwszy warszawski puhar" pozyskać.



„CORSO".

Cudne popołudnie czerwcowe. Jak gdyby umyślnie niebo ulitowało się nad spoconą Warszawą i zesłało wiatr chłodny, rzeźwiący. Przesuwa się pojazd za pojazdem, co jeden to piękniejszą wiezie właścicielkę. Dosyć wymienić p.p. Strzeszewskie, hr. Morsztynównę i Lilpopównę. Świat artystyczny wysłał też swoje piękne reprezentantki: p. Mrozińską, p. Larys-Pawińską, oraz powóz teatru Nowości.

Znalazło się też w pochodzie „corsowym" kilka powozów firmowych. Pięknie był przybrany samochód firmy B. Herse, gustownie wyglądały automobile apteki M. Malinowskiego, czeskiej firmy „Praga" oraz olbrzym rozwożący naftę Nobla.

Nagrody otrzymały pojazdy: hr. Platera, Ed. Berson, Jackowskiej, Marconich, Larys-Pawińskiej, Mary Mrozińskiej, St. Lilpopa, Piotra Strzeszewskiego, a z automobilów firmowych: B. Herse i Büssing.

Sądzimy, że organizatorzy wystawy byli zadowoleni ze swojej pracy, gdyż corso udało się wspaniale. Zdaje się, że wobec całego szeregu atrakcji, wystawa z dniem każdym jest coraz liczniej zwiedzana.



„Corso" na Wystawie Sportowo-Przemysłowej. Automobil szkoły szoferów



Wystawa Sportowo-przemysłowa.

W ciągu ubiegłego tygodnia ruch na wystawie panował wielki. Z powodu odbywającego się w tym czasie dorocznego jarmarku na wełnę, zjazd ziemian powiększył się jeszcze. Skorzystali z tego wystawcy maszyn rolniczych, puszczając w ruch motory i maszyny, jak młockarnie, lokomobile, elewatory i t. p., i dając tym sposobem licznym gościom pokaz ich działania.

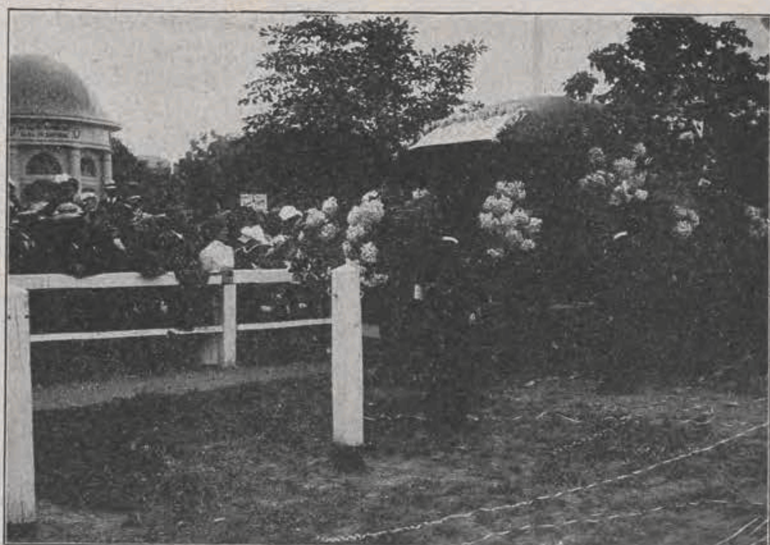
Zaczynają się też i prace *jury* wystawowego. Celem normalnego ich przeprowadzenia podzielono cały materjał wystawowy na szereg oddzielnych grup i w każdej z nich ocenę eksponatów przeprowadzać się będzie osobno. Komitet wystawy wystosował też cały szereg odezw do specjalnych instytucji i zgromadzeń fachowych z prośbą o delegowanie sędziów-ekspertów do jury w poszczególnych grupach. Tak np. Tow. Muzyczne w grupie instrumentów muzycznych, Centr. Tow. Rolnicze w grupie maszyn i narzędzi rolniczych, Stowarzyszenie Techników w czterech grupach obejmujących: przybory metalowe, pompy, motory, transmisje, wyroby żelazne, konstrukcje, maszyny do szycia, materjały budowlane, dachówki, chemikalja, smary, oleje, perfumy, farby, atramenty, wreszcie środki i przybory do oświetlenia służące. Stow. miłośników fotografji wydeleguje 5 sędziów do jury, w grupie optyki, fotografji, mechaniki precyzyjnej materjałów i maszyn do pisania; w grupie samochodów i rowerów sądzić będzie klub samochodowy Królestwa Polskiego; w dziale myśliwskim podzielonym na sekcje: puszkarską, hodowli myśliwskiej i trofeów łowieckich, delegacja jury składa się z członków Warsz.

Przypominamy, że czas odnowić prenumeratę za kwartał III-ci.

Koła Sportowego, Klubu Myśliwskiego i Tow. racjonalnego polowania.

W grupie I-ej, obejmującej samochody i rowery, wystąpiło dotąd 12 wystawców, a mianowicie: „Mercedes“ (B-cia Raczyńscy), „Laurin et Klement“ „Czesko-Morawska fabr. maszyn w Pradze Cz.“, „Auto-Palace-Varsovie“ (St. Berson), „Ferrum“, „The Studebaker Corporation“ (Amer. repr. M. Badior), „Pipe“ „Varsovie-Automobile“ (St. ks. Lubomirski), „Ford“, „Büssing“ - „Hercules“, „Z. Jasieński“ i „American-Cycle-Company“ (rowery). W dziale samochodów eksponaty są wyłącznie zagraniczne, u nas bowiem dorabia się tylko karoserje do spodów, sprowadzonych już wraz z motorami z fabryk zagranicznych.





„Corso“ na Wystawie Sportowo-Przemysłowej. Automobil firmy „Büssing“.

Wystawa miniatur w Bruksellі*).

Bruksellska wystawa miniatur jest podobno jedyną w swoim rodzaju ze względu na kompletność. Paryska wystawa miniatur dawała wyłącznie wiek 18-ty, Strasburska również była specjalną. Bruksellska daje nam zwierciadło rozwoju sztuki miniaturowej w wielu krajach, począwszy od wieku XIV, skończywszy na dniu dzisiejszym.

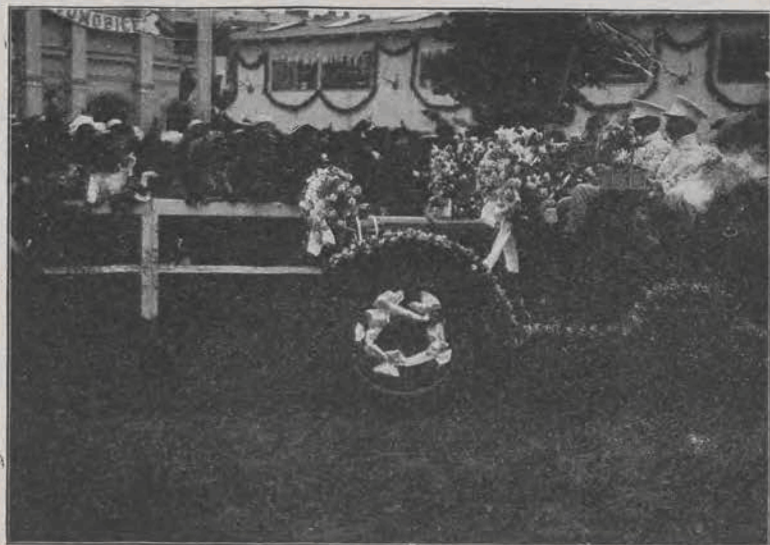
*) Wystawa mieści się w „Hôtel Goffinet“ w pałacu baronów Goffinet przy avenue des Arts.

Wprawdzie nie wszystkie epoki równomiernie są reprezentowane. Chcąc rozwój miniatury od początku przedstawić, trzebaby pono sięgnąć do figurynek z waz etruskich, i do egipskich papyrusów. Bruksellska wystawa jest wystawą przeważnie tylko jednego, najbardziej co prawda rozpowszechnionego rodzaju miniatury—*portreciku*. Ale właśnie w tym kierunku dała ona, co mogła najlepszego i niezwykle dużo zgromadziła okazów, Bo zważyć musimy, że przy kompletowaniu podobnej wystawy, niezmierne zachodzą trudności. Kolekcje miniatur są przeważnie własnością ściśle prywatną bogaczów, dworów panujących i rodzin blizkich artystom. Przypuszczam, że w tej dziedzinie sztuki więcej jest nieznanych arcydzieł, niż w jakiejś innej.

W komnacie wieku XIV i XV, której ściany gobelinami tych czasów są okryte, znajdziemy w gablotach illuminowane rękopisy, wśród których: Jakóba de Guyse, kroniki tyczące się dziejów Belgji ówczesnej, brewiarze i modlitewniki oraz słynne dzieło Philiberta de Lannoy: „L'instruction de jeune princè“.

Wobec wspaniałej barwności tych zbytkownie ozdobionych rękopisów, dzisiejsze książki ze swemi czarnemi zdobieniami wydają się szare. Na ścianach owej komnaty wycinki z mszałów i parę rzeczy Van Eyck'a i Memling'a, jako ilustracja epoki. Wśród ustawionych tu i tam rzeźb drewnianych, zwraca uwagę polichromowane popiersie hrabiny Prumy (szkoła włoska XV w.) oraz w dębie rzeźbiona postać Matki Boskiej z Jezusem, pełna wdzięku (szkoła francuska XIV).

W komnatach wieku XVI i XVII znajdziemy, wśród wielu innych, skarbiec klejnotów Holbeina. Na paru centymetrach przestrzeni z mistrzowstwem oddane jest życie człowieka. Twarze, tak bardzo dzisiejsze, niepokojące owem tajemniczem odwróceniem spojrzenia wgłąb siebie — usta ujęte w miękki zmysłowy zarost i czoła mądre, wiedzące a smutne. W tejże ko-



„Corso“ na Wystawie Sportowo-Przemysłowej. Automobil firmy „Szereszewskiego“.



Domenico Bossi. Anna Karolina księżna Badeńska.

(Z wystawy miniatur w Bruksellі).

mnacie znajdują się niezmiernie ciekawe miniatury Brentela. Są to wycinki z rękopisów, jaskrawo barwne, z przewagą barwy czerwonej, płomienne, lecz zarazem subtelne. Są także portrety pędzla holenderskiego mistrza Mirevet'a. Gdy przejdziemy jeszcze parę komnat, charakteryzujących dane epoki — znajdziemy się w sekcji angielskiej.

Specjalna angielska prostota, połączona z wykwintem, wyodrębnia te komnaty z pośród innych. Miniatury angielskie z niezmierną techniką na emalji przeważnie wykonane, cechuje to, co jest znamiennym rysem wszystkich niemal kierunków i rodzajów plastycznej sztuki tego kraju — śliczne wykończenie szczegółów, liljowa białość i delikatność karnacji, zniewalająca słodycz wyrazu, za którą kryje się cicha i mroczna głębia duszy. Zwłaszcza Plimer w swych główkach kobiecych jest niezrównany.

W sekcji angielskiej królują obok Plimera: Cosway, Smart, Oliwer i Hoskins; Rubens, Van Dyck i Rembrandt mają również swe miejsce na wystawie. Van Dyck'a i Rubensa są portrety „en grisaille"—Rembrandta również portret, przedstawiający „głowę filozofa".

Bardzo bogata jest komnata XVIII wieku. Wśród miniatur Ysabey'a, Rosalba'y, Sicardi'ego i wielu innych, znajdziemy tam parę tchnących grozą szkiców miniaturowych Goyi.

W tejże komnacie znajduje się portret małego księcia Lubomirskiego pędzla Cosway'a, portret Marji Leszczyńskiej przypisywany Nattiers'owi i Meng'sa portret Augusta III.

Jest i komnata poświęcona miniaturze współczesnej. Są to jednak już rzeczy, które odbiegają daleko, zarówno techniką jak charakterem, od tych, jakby w sercu cichej tęsknoty cyzelowanych drogich kamieni, które zostawili nam dawni mistrze.

W tej salce nowożytnej znajduje się również portret hrabiny Potockiej, pędzla Grahl'a (szkoła niemiecka).

Urządzenie wystawy jest bogate i wspaniałe.

Tyle z powodu wystawy tej sztuki szacownej, która stała się dziś jeno zbytkiem i drogocenną pamiątką.

M. Dąbrowska.

Brukseila.



Hans Hobein (młodszy). Portret.

(Z wystawy miniatur w Bruksellі).

Awiatyka niemiecka.

Aeroklub niemiecki urządził lot z Berlina, który się odbył w przeszłym tygodniu. Nadzwyczajnych postępów lotnictwa w Niemczech ten rekord nie wykazał. Zaświadczył tylko, że Niemcy pomaleńku zrzekają się Cepellinizmów i przyswajają sobie sztukę lotniczą francuską. Pierwszym przybył do Wiednia niemiecki awiator Hellmut Hirth. Nie był to rekord jednak, który zdobyli już tacy francuzi, jak Verdines, Kimmerling, Cauneau-Baumont. Zapewne jeszcze nie prędko niemcy pobiją na polu awiatyki francuską sztukę, odwagę i przytomność.



John Smart (szkoła angielska). Portret.

(Z wystawy miniatur w Bruksellі).

Wielbiciele Heleny Macochowej.

Skazana w procesie Damazego Macocha, kochanka jego p. Helena Krzyżanowska nie upadła zupełnie w oczach niektórych osobników, poszukujących sensacji czy też skandalu. Do więzienia piotrkowskiego, gdzie już siedzi od dwuch lat blizko, napływają ciągle miłosne listy, które czynią propozycje matrymonialne. Ostatnio jakiś anonimowy autor wzywa Macochową do Ameryki, tam ma posiadłość składającą się z 300 hektarów ziemi, zapewniając ją, iż się z nią ożeni i będą prowadzili życie szczęśliwe.

Zarząd więzienny jest zdania, że zaatlantyckim wielbicielem Macochowej jest zbiegły St. Załoga. Śledztwo więc wdrożono, jakie zaś będą rezultaty przewidzieć trudno, bo p. Macochowa ma wielbiciela we Władywostoku (jakiś maszynista), nie mówiąc już o więziennych adoratorach. Podajemy tę „nowość" gdyż proces Macocha nie jest jeszcze ukończony. Już zapewne niezadługo sądzić będzie całą tą „świątobliwą" szajkę Warszawska Izba Sądowa.



Helena Macochowa-Krzyżanowska.

Przegląd polityczny.

W jednym z pism propagujących walkę klas opublikowano list robotnika pod charakterystycznym tytułem: Dlaczego nie byłem na pogrzebie Prusa. W liście tym miota robotnik znane już frazesy przeciw burżuazji i stwierdza, że nie mógł być na pogrzebie Prusa, gdyż ten nic nie zrobił dla klasy robotniczej. Jest to śmieszny, dziecinny, na ignorancji oparty zarzut. Wiadomo jest bowiem ile instytucji powołał Prus do życia, by ulżyć doli klasie pracującej. Robotnik mógł nie wiedzieć tego wszystkiego, ale dziwne, że redakcja opublikowała ten list. Przecież redakcja wie doskonale, że Prus nigdy nie był „wyzyskiwaczem klasy robotniczej“, ani też nie pomagał jej wyzyskiwać.

Ten „robotniczy“ głos jest zgrzytem, który już od kilku lat stale się powtarza. Pewne jednostki nie mogą znieść czystego kołnierzyka i uważają go za symbol nieodłączny wyzysku. Co więcej, posuwają się dalej w swoich tendencjach „robotniczych“, gdyż dobrowolnie zrzekają się solidarności narodowej. Musimy wytężyć baczną uwagę w tym kierunku i alarmować społeczeństwo nasze przed temi klasowo-kosmopolitycznemi zakusami.



Hellmut Hirth
Lotnik, zdobywca rekordu Berlin — Wiedeń.

Prace nad reformą wyborczą w Galicji powolnie, w projektowanym opracowaniu, postępują naprzód. Według sprawozdania wydziału krajowego, opracowanego na podstawie danych statystycznych, przyszły sejm galicyjski składałby się z 205 posłów. Stosunkowa proporcjonalność przypadałaby w takich liczbach: 16 wirylistów (w tej liczbie 5 rusinów, t. j. 3 biskupów oraz rektora i prorektora uniwersytetu ruskiego), dalej 45 przedstawicieli wielkiej własności ziemskiej, a w tej liczbie jednego rusina; 36 przedstawicieli miast; 10 przedstawicieli kurji powszechnej miast, w czem 5 rusinów, 91 przedstawicieli drobnej własności ziemskiej, mianowicie 47 polaków i 44 rusinów, wreszcie 7 przedstawicieli handlowych i rękodzielniczych. W ten sposób w przyszłym sejmie zasiadałoby 55 rusinów.

Rusini nie są jednak i z tej reformy zadowoleni. Starorusin Karol popiera oświadczenie ukrainca Lewickiego, że ofiarowane rusinom 26,4% mandatów sejmowych nie mogą służyć za rękojmię spokoju w przyszłym sejmie, jak też i do rokowań, które chciano nawiązać z hałasującą hajdamaczyzną.

Z powodu sprawy chełmskiej w Radzie Państwa doszło do... starć, które zakończyły się zgłoszeniem deklaracji posłów Szebeki, Chrzanowskiego, Stachowicza i Tagancowa, iż występują z komisji wyłączenia chełmszczyzny. Deklaracja ta musi być zatwierdzona jeszcze przez Radę. Motywy, które skłoniły tych posłów do wycofania się z komisji, wywołają prawdopodobnie dyskusję na temat: czy ważne są prace i uchwały komisji, powzięte pod naciskiem i przy niedostatecznem quorum. Poza tem poseł Szebeko opracował votum separatum w sprawie chełmskiej. Będzie ono rozesłane wszystkim członkom Rady Państwa.

Izba magnatów węgierskich zatwierdziła projekty rządowe dotyczące reformy wojskowej i procedury sądów wojennych. Zatwierdzenie to sankcjonuje postępowanie hr. Tiszy. Biedny Kovacz, ani przypuszczał może, że izba magnatów pochwali „bohaterską“ rolę, jaką odegrał antikonstytucyjny hr. Tisza. Parlament węgierski upodobnił się do sejmu pruskiego. Policja wkroczyła do gmachu i przemocą „wynosiła“ opornych posłów.



Edward Cuwaj
kroacki, królewski komisarz, na którego zrobiono zamach.

Austryjaccy politycy łamią sobie też głowy nad losami ustawy wojskowej. Opóźniają jej uchwalenie rusini. W razie gwałtownej opozycji rząd będzie się musiał uciec do pomocy § 14. Według obliczeń pism wiedeńskich większość za ustawą wojskową będzie ogromna. Liczą one, że będą głosowali: związek niemiecki, chrześcijańsko-socjalni, koło polskie, południowi słowianie, czesi oraz poszczególni posłowie różnych stronnictw. Razem obliczają 322 głosy. Przeciw ustawie przewidują zaledwie 130 głosów. Jak jednak rzeczywistość będzie wyglądała—dowiemy się w przyszłym tygodniu.





Policja na schodach sejmu węgierskiego. (Z powodu zaburzeń w Budapeszcie).

dała dowody wielkiej żywotności. Popisywały się klasy dyr. Domaniewskiego, prof. Wąsowskiej - Rüdigerowej, prof. Myszugi, prof. Michałowicza i prof. Łysakowskiego. Klasę fortepianową dyr. Domaniewskiego reprezentowały p. p. Felicja Ciborowska i Kolbińska, w wykonaniu koncertu Moszkowskiego p. Ciborowska wykazała niepospolite zalety gry i technikę, uczucie, siłę, zrozumienie kompozytora i ujawniła doskonały kierunek swego profesora. P. Irena Kolbińska z chlubą dla dyr. Domaniewskiego koncert e-moll Chopina wykonała bardzo dobrze. Sekundował im na 2-im fortepianie doskonale p. Michalski. P. Wandą Jerominównaładnie odegrała „Larghetto“ z koncertu f-moll Chopina. Jedynie ujawniła brak siły, którą znowu druga uczennica p. Rüdigerowej p. Łucja Drége przy innych zaletach wykazała w wykonaniu trudnego a tak iście francuskiego koncertu g-moll Saint-Saïusa. Obie one ujawniły dobry kierunek prof. Rüdigerowej, która była na popisie nieporównaną partnerką swych uczennic na 2-gim fortepianie. Klasę prof. Myszugi doskonale zaprezentowały panie: Marja de Feisseyre, Natalja Grafczyńska, p. Stefanja Millerową, Lidja Mrozowska, Stella Millnerówna. Wszystkie mają głos dobrze ustawiony przy wrodzonych zaletach muzykalności.

Wszystkich wykonawców i niezmordowanego akompanjatora, prof. Starczewskiego przyjmowano serdecznie.

J. War.

TYPY I TYPKI.

STARY DONŻUAN.

Niegdyś kruczą miał czuprynę,
Postać prostą, w oczach blaski,
Dzisiaj stracił włos i minę,
Twarz podobną ma do maski.
Tabes grzbiet mu ujął w kleszcze,
Nogi z gumy, nie ze stali,
Ledwe łazi — ale jeszcze
W starym piecu djabeł pali.

Gdy niewieścia mu spódnica
Nignie trafem koło oka,
Wnet ogląda się, zachwyca
I ustami smacznie smoka.
Zda się, żeby, jak wilk, pożarł
Oczy, usta jej z korali,
Taki go ogarnia pożar.
W starym piecu djabeł pali.

Miał u niewiast powodzenie,
Kiedy młody był i szparki,
Dziś, gdy wśród dam nie jest w cenie,
Poluje na pensjonarki.
Od poranka jest na mieście,
Gdy do szkoły młodzież wali,
Składa ukłon w pięknym geście,
W starym piecu djabeł pali.

Z pensjonarką dziad kościany
Kroczy razem, niesie książki,
Trując duszy świeże łany,
Obiecuje cukry, wstążki.
Chociaż nieraz dostał kije,
Po romansów płynie fali —
Niepoprawny, póki żyje,
W starym piecu djabeł pali.

Krogulec.



Warszawskie Tow. Muzyczne.

POPIS SZKOŁY.

W ubiegłą niedzielę odbył się popis szkoły przy zapełnionej szczelnie sali Filharmonijnej. Najstarsza w Warszawie instytucja muzyczna i tym razem

ETERNIT.

Na wystawie Sportowo - przemysłowej jako interesujący eksponat zwraca ogólną uwagę materjał do krycia dachów p. n. „Eternit“.

Częściami składowemi „Eternitu“ są: cement i asbest.

Zalety „Eternitu“ 1) niezwykła trwałość, 2) Nadzwyczajna lekkość; 3) Całkowita odporność na wszelkie wpływy atmosferyczne; 4) Zupełna ogniotrwałość; 5) Zupełna nieprzepuszczalność wody; 6) Absolutna gładkość powierzchni i jednakowa grubość oraz piękny, estetyczny wygląd. Zastosowanie Eternitu niezwykłe: w samej Austrji roku 1911 „Eternitem“ pokryto olbrzymią powierzchnię 7,000,000 metr. kwadr.

„Eternit“ jest opatentowany we wszystkich cywilizowanych państwach świata. Prawo wyrobu „Eternitu“ na Królestwo Polskie i Rosję zostało nabyte przez p.p. Stefana, Onufrengo, Leona i Marję Rylskich.

Pierwsza w kraju fabryka buduje się w Lublinie i puszczona będzie w ruch już w r. b.

Oskarżeni o zaburzenia w Tunisie.

Rząd francuski pociągnął do odpowiedzialności hecarzy, którzy napadali na spokojnych mieszkańców Tunisu i wszczęli bunt w mieście. Liczba ich jest wielka. Nazwiska zaś tak dziwne, że sędziowie dla uniknięcia pomyłek kazali numerami po-



Zaburzenia w Tunisie.
Ponumerowano oskarżonych, gdyż... zapomnieli swoje nazwiska.

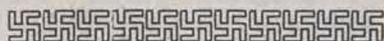
odznaczać oskarżonych. Wszyscy oskarżeni poczytywani są za ofiary i intrygi niemieckiej, która, gdzie tylko może, urządza francuzom powstania, bunty, manifestacje.



Dział informacyjny.

Wobec nadchodzących gremialnych zmian lokali przez mieszkańców naszego grodu, co się zwykle praktykuje najczęściej w lipcu każdego roku, nie od rzeczy będzie gdy damy pewne wskazówki jak uskuteczniać można t. zw. przeprowadzki tanio, szybko bez wszelkich strat w postaci popsutych i często połamanych mebli, nierzadko bardzo cennych. Ogół, dążąc zwykle do tak zwanej pseudo-ekonomji (oszczędności) i powierza swoje ruchomości najczęściej drobnym przedsiębiorstwom, nie dającym żadnej gwarancji co do solidnego załatwiania zleceń, uwzględniając jedynie tak zachęcającą na pierwszy rzut oka pseudo-taniość. W rzeczywistości rzecz się ma zupełnie inaczej. To co niby tanio—wypada szalenie drogo, ze względów że personel w takich małych przedsiębiorstwach nie posiada żadnej rutyny przy przewożeniu i ekspedycji rzeczy kosztowniejszych, samo zaś takie przedsiębiorstwo jest niczem nie odpowiedzialne w razie uszkodzeń ruchomości: w konkluzji straty oczywiste. Już teraz zauważyć się daje pewna skłonność do powierzania zleceń tylko pierwszorzędnym firmom. Jak napr. Tow. Ak. „A. Wróblewski" i Tow. „Syrena". To ostatnie egzystuje od r. 1895, właścicielem jest znany w szerokich kołach handlowych p. T. Wilczyński. Stały rozwój Tow. „Syrena" w ostatnich latach jest bez zaprzeczenia najlepszym wskaźnikiem jak powinny być prowadzone podobnego rodzaju przedsiębiorstwa i do jakich powinna zwracać się z pełnym zaufaniem sfera osób potrzebująca usług przedsiębiorstw przewozowo-ekspedycyjnych, a w szczególności przy tak zwanych przeprowadzkach Ś-to Jańskich i Ś-to Michalskich.

WK.





Juljusz Kovacz
poseł do sejmu węgierskiego, sprawca zamachu na prezydenta Izby hr. Tiszę.





Odpowiedź Redakcji.

P. Jeżewskiemu w Kamienskoje. Wysyłamy stale jaknajregularniej. Chyba poczta tu winna.—Numery za maj wysyłamy ponownie.

Czesław Drążkiewicz. W poezjach pana znajduje się dużo rysycyzmów. Np. *Pir* młodości. Nie do druku.

Czytelniczce „Złotego Rogu". Powieść Wrzosa „Grzech miłości" można kupić w każdej księgarni. Nasza administracja niema jej na składzie.

P. Zdzisławowi Sępow. Książ.-Wielki. „Do Zbigniewy" nie nadaje się do druku. Ma znaczenie tylko pańskich osobistych afektów. Poza tem wiele błędów językowych np. „sprzędłaś".

Prenumeratorowi z Międzyszewa (Siedleckiej gub.). „Gazeta Leśna i Myśliwska" wychodzi w Warszawie. Wydane, zdaje się, już 3 numery. Redaktorem jest p. Buszek-Buszecki. Adres: Nowy-Zjazd 7.

Prenumeratorowi z Razdolnego. The Graphic. Jest to tygodnik formatu francuskiej „L'illustration".

WARUNKI PRENUMERATY:

W Warszawie z odnoszeniem do domu,	rocznie rb. 4.—	półr. rb. 2.—	kwart. rb. 1.—	Numer pojed. kop. 10,
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 4.60	„ „ 2.30	„ „ 1.15	halerzy 25.
Za granicą i za oceanem	„ „ 5.—	„ „ 2.50	„ „ 1.25	
W Austrji i Galicji	„ 12 kor. 50 h.	„ 6 kor. 50 h.	„ 3 kor. 30 h.	Zmiana adresu—20 k.

Prenumeratorowie przybywający od II-go kwartału otrzymują początki drukujących się powieści; opłacającym prenumeratę za I-szy kwartał, wysyła się komplety pisma. Prenumeratę przyjmuje Administracja „ZŁOTEGO ROGU" w Warszawie **Mazowiecka № 5,** wszystkie poważniejsze księgarnie i biura dzienników.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 2 str. okładki, przed tekstem (wiersz petitowy) 40 kop. **Nadesłane,** w tekście—75 kop. **Reklamy**—40 kop. **Ogłoszenia** na kolumnach bez tekstu i na 3 str. okładki 20 kop. **Na 4 str. okładki**—30 kop.

Redakcja otwarta od g. 12 do 3 po poł. i od g. 5 do 7 w. Administracja otwarta od g. 10 rano do g. 7 w.

Przedstawicielstwo na Łódź: Biuro dzienników „Promień".

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa." Za Redaktora **Feliks Kwaśniewski.** Kier. lit. Eustachy Czekalski.

Klisze wykonał zakład R. SAWICKIEGO, Wspólna 45. Druk L. Bilińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.